№ 39.

Warszawa dnia $\frac{16}{28}$ Września R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Od Redakcji.

Z dniem pierwszym Października r. b. kończy się prenumerata na kwartał trzeci dla utrzymujących Tygodnik Mód w Warszawie. Dla uniknięcia przeto niedokładności w odbiorze, upraszamy o wczesne zapisywanie się na kwartał IV.

Warunki prenumeraty, jako też dążność, cel i forma Tygodnika Mód pozostają te same.

Jan Kanty Gregorowicz.
Redaktor Główny i Wydawca.

UROCZYSTOŚĆ RAJSKA

W DZIEŃ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH.

(*stara legenda francuzka.*)

Legenda następująca z czasów jeszcze Ludwika świętego opiewa w naiwnej poetycznej swéj treści, dobroć N. Marji Panny.

— Było to w dniu powiada legenda w którym kościół zwykł obchodzić Uroczystość Wszystkich Św. a że Niebo czyli kościół tryumfujący podziela zarówno tak radości jak i smutki kościoła wojującego na ziemi, zatem i w tem święcie wesoły bierze udział. Otóż Jezus Odkupiciel ludzi zaprosił całe zgromadzenie św. na obchód solenny ich Imienia. Ewangeliści więc złotemi trąbami rozgłosili tę wolę Bożą na cztery niebios okolice i wnet aniołowie przezroczemi skrzydłami rozbiegli się na wszystkie strony Jezusowego Dworu, by wezwać niebieskich mieszkańców. Zewsząd więc zaczęły się schodzić jaśniejące Bożem światłem chóry Proroków, święte Zastępy Apostołów, pełne chwały tłumy Męczenników i grona przeczystych dziewic uwieńczonych różami. Wszyscy Święci wielkiem kołem otoczyli Chrystusa, by w pieniach niewysłowionéj radości wygłosić zwycięzkie hymny swych wiekuistych roskoszy i połączyć je z pobożnemi śpiewami kościoła na ziemi. Czekano tylko na Marję, Matkę Zbawiciela, która jaśniejąca pięknością i światłością nad wszystkich, jako Pani i Królowa téj uroczéj krainy wesela, ukazała się smutna.. z pełnemi łez oczami. Zbawca powstał z tronu chwały i podszedł ku Swéj najmilszéj Matce, lecz Ona schyliwszy się do stóp Jego, na których krwawe znaki Męki lśniły się najcudniejszemi ogniami miłości, rzekła pełnym słodyczy głosem: O! mój Boże i mój Synu! Którego na łonie tuliłam mojem, z którym dzieliłam ziemskie życia boleści, wiem że mnie kochasz, i że nic matce Twéj nie odmówisz, pozwól więc, by w dniu téj ogólnéj radości i dusze w czyszcu cierpiące dzieliły ją z nami. One także są siostrami i braćmi tych tutaj św. Twoich, one są dziećmi Twemi mój Jezu, i dzień wesela w którym niebo i ziemia uczestniczy, dla nich jednych tylko przeszedłby w boleści. Z niewysłowionem wyrazem łaski i przebaczenia wyciągnął Zbawca rękę Matce na znak przychylności, a chóry św. powiększyły się i pełniejszą zabrzmiały radością, dzwięki anielskiego „Alleluja" rozległy się głośniéj i szerzéj w nieobjętych granicach niebieskiéj krainy!

Augustyna S.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

MARGARITA. Tak jest. Ułuda zwodnicza rzuciła żonę i matkę w objęcia kochanka, będącego pierwszą miłością moją. Przyszła chwila opamiętania, padłam u stopni ołtarza i pokuta twarda dziesięcioletnia została mi wskazaną. Wypełniłam ją i daléj wiodę — ach! wieleż potem czyniłam! Gdybyś weszła do modlitewni mojéj, gdzie nikt prócz mnie, nigdy nie postał, gdybyś ujrzała ściany i podłogę zbroczone krwią moją, grubą nasiąkłą warstwą, och! możebyś uczuła więcéj litości nad moją karą, niż oburzenia mą pychą. Zadowolniona pokutą — mniemałam że już zasługuję, aby wina moja pozostała w ukryciu, aż do dnia ostatecznego sądu. Osądź więc przerażenie moje, gdy w chwili kiedy nalegałam na Azagrę, aby zrzekł się roszczeń swych do ciebie, przedstawił mi listy moje, pisane do współwinowajcy i zagroził mi, że je złoży do rąk ojca twego, jeżeli nie zechcesz zostać żoną jego.

IZABELLA. Więc jedno jeszcze nieszczęście przeważające nad nieszczęściem mojem (po chwili). Jest więc jeszcze ktoś, którego mogłabym uratować od ciosu cierpień.

MARGARITA. Ocalić mnie? Nie zasłużyłam na to. Cóżeś mi winna, byś miała ponosić dla mnie tę ofiarę? Wieczna surowość i powaga, jestem twoją matką, kochałam ciebie, a czyż doznawałaś kiedy pieszczot moich — mojéj miłości? Dopiero od wczoraj.

IZABELLA. O matko? Czy możesz powątpiewać o tem, co powinnam uczynić i co wypełnię? Tak — jakże jeszcze jestem wachająca się. Lecz cóż? Nie jestżem córką? Czy matce mojéj nie grozi niebezpieczeństwo? Czyliżem nie zdolna ją ocalić? Życie moje jest twojem — przyjmij je. Tak każe Bóg! tak każe natura (z trwogą) Zaślubić don Rodryga (z determinacją). Och! serce me, nie obawiaj się wieści wesołych, bo Marsilia nie żyje już.

MARGARITA. (na stronie) Och! wstydzie!

IZABELLA. I zdradził mnie. Czyliż odstępstwo jego nie jest pewnem? (z nadzieją) Powiedz mi matko. On zapomniał o mnie pod nieobecność, i dla jednéj maurytanki znieważył miłość, którą mnie był dłużen. Czyliż równie nie jest pewnem, że Azagra dusza jest podejrzliwa, zadrosna, gniewna i mściwa (z nadzieją radosną) że moje narzekania i żal, będą dlań nieznośnemi, że rozkazując napróżno bym je tłumiła wybuchnie wściekłością i zamorduje mnie!. To moja cała nadzieja.

MARGARITA. Izabello — co za okropności!

IZABELLA. Przechowuję listy ukochanego, niechaj odczyta je. Posiadam je, i dnia pewnego, ujrzy je Azagra.

MARGARITA. Och! gdyby moje były tak niewinnemi!

IZABELLA. Niewinnemi! Tak jest, wszystkie tchną czystością. Namiętność ta, nie ukaże się Rodrygowi w szacie nowéj, lub zbrodniczéj. Widzisz to matko! (pokazuje obraz) To są rysy jego oblicza, moja ręka ciężka, kreśliła niewprawnie te rysy, bez widzenia wzoru... tylko z wizerunku fantazji skrytéj stale w méj piersi. Pozwól mi ucałować go po raz ostatni. Ostatni raz jeszcze tylko. Odbierz go, czynię ofiarę z siebie. Weź go — i oto jestem zimna oziębła, spokojna — jak grób. Naśladuj m moją wytrwałość — moją spokojność, i nie przewów do mnie ani słowa więcéj. Sława twoja. jest ręku mojem, zachowam ei ją nieskażoną. Córka twoja będzie żoną Azagra. Mniejsza o to, czem to opłaci. (wychodzi).

Scena 6.

MARGARITA. Swięty Boże co uczyniłam? Jestemże matką? Nie jestem nią. Słyszę tylko jeden głos serca, wołający na mnie. Nieszczęsna nadużyłaś cnoty Izabelli okrutnem samolubstwem, a to aby uniknąć własnéj hańby! Jeżeli Don Rodryg jest okrutny jakąż ja jestem, w porównaniu z nim? Lecz z kąd zaczerpię potęgi, aby zrzec się owocu lat piętnastu, który jakby podatek złożyłam pokucie? Stawięż się przed obliczem mego męża i Aragonji z sromotną hańbą po zbrodni spełnionéj? W nieszczęsnéj godzinie uzyskałam tak rozgłośną cześć i szacunek. Poddawałam się z roszkoszą katuszom pokuty, i tylko myśli méj, ciężar ten dolegał; lecz teraz, za wyjaśnieniem wszystkiego, gdy świat rozchwyci wieść o mym błędzie, hańba i bezcześć więcéj jeszcze udręczą męża mojego. Co za cios okrutny! Zabije go boleść? Boże mój — żyłam bezpiecznie — a jeśli spełniam nowy występek dla zatajenia dawnego, ty panie będziesz widział, jak będę pokutować za niego. Zwierzyłam się przed Izabellą, jéj ukochany już nie żyje. Sam los nastręczył mi przedsięwzięcie tego kroku. Mogę siebie poświęcić, ale nie mego męża.

AKT IV.

ZMIANA I.

Mały gabinet Izabelli.—Drzwi wielkie w głębi, za otwarciem ich, widać w głębi długą salę.— Drugie drzwi małe na boku.

Scena 1.

Izabella.—Maria Gomez.

(Izabella ustrojona bogato, siedzi obok stołu na którym stoi źwierciadło metalowe na postumencie. Marja zajęta strojeniem Izabelli, któréj ubiór świąteczny stanowi sprzeczność z jéj melancholią).

MARJA. Jakże zdaje się tobie przystrojenie głowy? Nic nie odpowiada i ani mnie słucha. Przejrzyj się—

mówię ci, podnieś główkę — (Izabella wznosi głowę machinalnie i spuszcza ją nie patrząc) Acha! miléj ci spoglądać na te drzwi. Ocho! to dozwolone jest oblubienicy. Będąc tak roztargnioną przed ślubem, będziesz późniéj szczęśliwszą... No załóżmy naramiennik (chce śpiąć go, lecz wyślizguje się jéj ramię Izabelli). Ale, trzymajże ramię. Otóż — jak gdybym ubierała trupa. (zakłada dwa naramienniki kierując rękoma jéj dowolnie) Co się tyczy kołnierzyka — krótka z tem sprawa. (Podnosi jéj głowę—Izabella wzdycha).

Izabella. Ach!

Marja. Zawdziejemy teraz zasłonę — tak może pozostać! Czegoż niedostaje? sądzę że już niczego. Widzisz. Wyglądasz ślicznie. Tylko że musiałam po trzydzieści razy tracić cierpliwość — i to jeszcze ja! Ja która radabym przystroić cię jak obrazek święty— ja! która odbijam się w tobie, bo ozdobienie ciebie, to moje dzieło. Nakoniec doczekałam się dnia, w którym widzę cię przybraną strojniéj. Wznowisz zazdrości, które spoczywały pogrzebane od lat sześciu.

Izabella. (zadumana) Marsilia!

Marja. (na stronie). Przebacz jéj Boże (głośno). A tera: nakładę do uszu Don Rodrygowi, co czynić powinien jako małżonek. Co niedzielę powinnaś nową zawdziewać suknię. Powinnaś wypłacić zaniedbanie się jako panna, starannością jako żona.

Izabella. Żona! (cuci się z marzeń. Patrzy na Marją — w zwierciadło — po sobie — skupia myśli — z uśmiechem melancholii) Ach! to ostatni ubiór mój.

Marja. Najsłodsze Imię Jezu! Libera nos a malo. Niechaj Bóg nie dopuszcza tego. Najserdeczniejsza Izabello. Bóg nie dopuści tego. Uczyni cię on tak szczęśliwą jak zasługujesz na to. Lecz otrząśnij się z téj zadumy. Wydajesz się albowiem jak winowajca rozmyślający o śmierci. Pomnij że goście weselni za chwilę nadejdą. A nie trzeba dawać im sposobności do plotek.

Izabella. (jakby zbudzona nagle) Która godzina?

Marja. Wkrótcę dzwonić będą uświętego Piotra. Jestto godzina o któréj don Diego Marsilia wyszedł z Teruelu przed laty sześciu — aż do wybicia godziny téj, pan mój nie może być uwolniony od swéj obietnicy.

Izabella. Tak — o téj godzinie — o téj saméj godzinie, wyjechał z ojczyzny swojéj nieszczęśliwy Marsilja, aby nigdy do niéj nie powrócić! W téj saméj komnacie rozmawialiśmy, tam stałam ja: oczy moje skrapiały obficie łzami robótkę, tak jak teraz zwilżają moje szaty weselne. Spojrzenia moje zwracały się nieustannie na ulicę, którą miał jechać; chciałam ujrzeć go raz jeszcze. Wyszedł tędy, dosiadł rumaka zawróciwszy przed kratę okienka mojego. Wyszedł tędy przyodziany w rynsztunek, z lancą w dłoni, z szarfą na ramieniu, jako z ostatnim podarunkiem moim. Zatrzymał się tutaj. Tutaj przesłał mi ostatnie słowa pożegnania. Rzekł do mnie: „z tobą albo w grobie“. „Twoja lub umarła“ wykrzykłam, odchodząc od zmysłów, „twoja lub umarła“ powtórzyłam i z sercem ścieśnionem od żałości, upadłam bez pamięci na ten sam balkon, wyciągając dłonie ku połowie méj duszy, która uchodziła. Jego lub umarła! I otóż mam oddać rękę Rodrygowi. Wypełniam przysięgę należycie.

Marja. Dziecię moje wydrzéj z pamięci, te myśli. Cóż to mamże starać się pocieszać ciebie? Jesteś rozumniejsza odemnie, ja jestem tylko ubogą niewiastą. Dla przywrócenia pokoju duszy twojéj, dla uszczęśliwienia ciebie, oddałabym resztę dni pozostających mi do życia, mniéj o dzień jeden, dla tego, abym w nim widzieć szczęście twe mogła.

Izabella. Kochasz mnie więc bardzo Marjo! Czyż ci tak mocno dolega mój smutek?

Marja. Dziecię moje? Małoż mam przyczyn do zmartwienia? Wszak urodzoną, ja przyjęłam w objęcia moje, kołysałam kołyskę twą, i lat 24, nieprzerwanych, mogły natchnąć mnie przywiązaniem! Któż więcéj nademnie pieścił cię i otulał. Któraż matka więcéj pobłażała córce jak ja tobie? Nie przeszkadzało to, bym cię i nie połajała. Tak Izabello — jak wypadło — ale jakżem cię burczała, strofowania moje podniecały twój śmiech. Gdzie tam ani śmiech ani płacz, najczęściéj nie słuchałaś mnie wcale. I na honor! nie pozbyłaś się jeszcze téj brzydkiéj wady. Miałaś we mnie drugą matkę, gdy ja miałam w tobie niemą uczennicę. Discipulis surdis — tak mawiał św. Paralipomen.

Izabella. Wybacz mi poczciwa Marjo, nie jestem niewdzięczna. Usciskaj mnie. Gdybyś wiedziała, jak jestem strudzoną, czuję ból, osłabienie — sił mi brakuje.

Marja. Bóg z tobą! a pani naszéj nie ma w domu poszła do chorego — do syna Sędziego, którego rabusie poranili. Nie pomyślała że może tu być potrzebną. Pobiegnę co prędzéj przywołać ją.

Izabella. A to na co? Cierpię ale na duszy. Któż wylecza podobne cierpienia? Zdaje mi się, że w głębi mnie, wznosi się głos jakiś uwodzący, straszny głos nie pochodzący z méj woli, lecz wiodący ród zapewne z piekieł (Marja żegna się) który podżega mnie, abym zerwała, zdeptała więzy natury, wszystkie względy należne społeczeństwu, przepisy ustaw; abym wyrządziła krzywdę bliźniemu, abym nie przeszkadzała nieszczęściu, bo przeszkodzenie kosztuje mnie niesłychanie. Nie rozumiesz mnie Marjo, lecz jeżeli przypomnisz sobie ów rok, w którym zaraza toczyła swój rydwan wytępięnia wzdłuż i szerz krainy téj, w którym połowa Hiszpanji zatrudniała się kopaniem grobów dla drugiéj połowy która wyginęła, gdybyś wyobraziła sobie tę okropną walkę wypowiedzianą sobie w ciele mojem przez śmierć i życie, w któréj walce śmierć ustąpiła zwyciężona, miałabyś odległe pojęcie o umysłowéj walce, którą znoszę, a któréj ciosy kaleczą mi ciało i któréj końca nie odgaduję sama.

Marja. Dosyć! dosyć!.. biegnę po moją panią. Chociaż kazała powiedzieć, aby nie czekano na nią ze ślubnym obrzędem — jednak będzie to zawsze lepiéj gdy ci zechce towarzyszyć do kościoła.

Izabella. Ach — dobrze — niechaj przyjdzie. Powiedz jéj, iż jéj obecność potrzebna dla mnie, że nie powinna odstępować mnie.

Marja. Bądź spokojna, nie powrócę sama (wychodzi).

Scena 2.

Izabella. (sama) Poprowadź mnie do ołtarza — o matko! zadyktuj mi, ustami swemi ten wyraz: tak!

Powiedz mi, że jeżeli nie wymówię go, zadam ci śmierć — bo inaczéj, nie wiem czyli go wymówić zdołam. W chwili, kiedy wysłuchałam tego nieszczęsnego zwierzenia, należało nie dając czasu do rozpoznania ogromu poświęcenia, oddać mnie Azagrowi. Dziś już prysło rozczarowanie, entuzjazm zlodowaciał; strudzona cnota odmawia powtórzenia poświęceń. Chociażbym powlokła się przed ołtarz, z oczyma wlepionemi w wizerunek cierpień mojéj matki, z duszą pałającą żądzą uratowania jéj z ustami gotowymi do posłuszeństwa memu ojcu, jednakże wydrze się z głębi piersi moich wykrzyk „nie“ którego nikt powstrzymać nie potrafi, nikt ani nawet ja sama. Co widzę? Don Rodryg? (powstaje przy drzwiach bocznych.)

Scena 5.

Rodryg. Izabella.

Rodryg. Przecież samą spotykam cię piękny aniele! Zawsze gorzka pogarda, i umyślne stronienie pozbawiały mnie tego dobrodziejstwa. Drżysz Izabello. Racz usiąść.

Izabella. Przed panem moim?..

Rodryg. Przed niewolnikiem — słuszniéj rzekłabyś. Piękność jest władczynią w królestwie miłości.

Izabella. Kłamliwe panowanie!

Rodryg. Nie sądziłem abyś wątpiła o mojéj uległości szczeréj. Och Izabello! gdybyś raz mogła przejrzeć tajniki duszy méj!

Izabella (z ironią) Jest ludzką, piękną i szlachetną. Nie dawno temu, dowiodłeś tego.

Rodryg. Taką była zawsze gwiazda moja! Nie mogłem odsłonić jéj bez przekrzywienia jéj rysów. Znasz pani Azagrę, jako dumnego, mściwego, a wysłuchawszy mnie, ujrzysz wcale innym, aniżeli wyobrazić sobie mnie mogłaś przez pryzma twéj niezasłużonéj niechęci. Azagra, który ubóstwia cię, Azagra żyjący tylko dla ciebie, jest zapoznany przez ciebie, i dla tego przystoi nam obojgu, wytłumaczyć się obecnie.

Izabella. Jeżeli pan chcesz usprawiedliwić postępowanie swoje haniebne, nie zadawaj sobie trudu daremnie. Sądzę, że lepiéj dla nas obojga będzie— milczeć.

Rodryg. Izabello: Sromota, śmierć i wieczyste potępienie nie sprawiają na nieugiętéj duszy méj tak bolesnego wrażenia, jak myśl utracenia ciebie. Nigdy najzjadliwszy język, nie mógłby rzucić mi przekleństwa okropniejszego nad te wyrazy: Nie zdołasz uzyskać Izabelli za małżonkę. Czy to matka moja, czy rywal mój, jeżeliby podźwignął się z grobu i którykolwiek odważny śmiertelnik, któryby poważył się stanąć pomiędzy tobą a mną ażeby mnie ukrzywdzić musi poledz pod moją wściekłością jako krwawa ofiara. Nie ma środka któregobym nie pochwycił, gwałtu lub podstępu! byleby przywiodły mnie do ciebie. Potrzebuję posiąśdź ciebie, aby zostać cnotliwym. Chcieć wydrzeć cię mojéj miłości, jestto zbliżyć mnie ku zbrodni i przygwałcić do jéj spełnienia. Nie przerywąj mi. Chcesz bezwątpienia powiedzieć mi i słusznie, że miłość objawiona w sposób tak gwałtowny, przestaje być namiętnością, a przeobraża się w okrucieństwo. Nie chciéj malować mi miłości twéj delikatnéj, na moją hańbę. Już mi to usta twe wypowiedziały, choć ich mowy nie słyszałem. Czytałem wszystkie listy które Marsylja pisywał przez czas nieobecności. Wizerunek jego twéj ręki, którego on nie widział, ja oglądałem. Nie ma tu ani jednego zamku od którego nie posiadałbym drugiego klucza.

Widywać ciebie, we dnie i po nocach — było jedynem mojem zajęciem. Uciekałem z Mozon, ilekroć razy obowiązek mój święty dozwalał tego. Widując ciebie dumającą po nocach na balkonie, miałem już nagrodzone trudy. Żadna inna dziewica nie była tak ubóstwioną od kochanka. Czyniłem olbrzymie wysilenia, ażeby potargać te kajdany, ażeby potrafić obejść się bez ciebie. Uwiedziony rojeniami obłędnych złudzeń, oczekuję z nadzieją przyjaznéj chwili już od lat sześciu, i jeszcze dotąd nie mogę wyrzec, iż ona nadbieżała. Lecz już w przyszłości, nie może ona być dłużéj daleką.

Izabella. Jakto, czy sądzisz, iż namiętność moja wygaśnie ze śmiercią Marsylji. O nie! trwać ona będzie, dopóki żyć będę.

Rodryg. Dobrze — kochaj Izabello i głoś to otwarcie — ale dumna 'tą miłością, choć ta drogo mnie kosztuje, nie nazywaj mnie nigdy okrutnym. Skoro uczucie to miłości, którego wygłaszania nie ograniczam zespala się z istnieniem twojem jako konieczność — ożywiaj je. Ja zaś, ja moja droga! potrzebuję tylko nazwiska męża twego. Nic więcéj oprócz tytułu. Na tem zakończam prośbę moją i żądzę. Cierpienia wszelkie ulecą odemnie, jak skoro tylko szczycić się będę mógł mianem małżonka twego. Zechcesz więcéj—rozłączenia? Będziesz żyła w Teruel, a ja na dworze Aragońskim. Czy lękasz się samotności? Weźmiesz rodziców ze sobą i zmienisz najwięcéj dom i sąsiedztwo. Nigdy bez twego pozwolenia, nie ujrzę twych boskich oczu. Ale udzielaj mi je przynajmniéj często. Jeżeli nudzić się będziesz — powiedz. Rozrządzaj grą, muzyką i polowaniem. Płaczesz, drogi klejnocie. Gdy płaczesz, cóż powie ci ten, który nigdy nie ronił łez w życiu swoim? Od urodzenia dumny byłem, bo los niewolniczo pochlebiał zachceniom moim od lat dziecięcych. Stałem się niezłomnym, zakamieniałym, tyranem w wieku męzkim. Ale cóż czynić mam gdy napróżno walczę z sobą samym. Miéj litość, nad moją pychą bezrozumną. Ja przy twéj przychylności, nie okażę się nieludzkim. Obadwaj nieszczęśliwi możemy ulżyć cierpieniom swoim, wzajemnem wybaczaniem sobie. A teraz chociaż pobierzemy się, czy będziesz mogła nienawidzieć mnie.

Izabella. Don Rodrygu! Don Rodrygu. (płacze).

Rodryg. Płaczesz? Czyli dla tego, że okazuję się godnym zostania przyjacielem twoim. Czyli nie dość znosiłem ciężkie brzemię twéj nienawiści?

Izabella. Och nie! nie! Serce moje nie umie pałać nienawiścią.

Rodryg. Hart duszy mojéj pęka, gdy patrzę na boleść twoją. Ach te łzy!— ileż ich uroniłaś z méj przyczyny. Spójrz. Widzisz mnie u nóg swoich. Zwyciężyłaś. I zdołamże? Tak—rzuć rozbrat z ogromem cierpień. Zwracam ci wolność oddania mi lub odmówienia swéj ręki. Rządź się, wolą swoją. Jesteś wolną. (d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

Pomiędzy machinami i machinkami, zostającemi w ruchu na wystawie powszechnéj w Paryżu, szczególniéj zwracają na siebie uwagę, machina wyrabiająca buty, kapelusze, przyrząd automatyczny do ważenia zboża przed samem poddaniem go pod mielące kamienie w młynie, fabrykacja papieru z drzewa i fabrykacja lodu. O pierwszych dwóch już pisałem poprzednio; trzy inne zdumiewają dowcipem układu, pomysłem i potęgą nauki, wydzierającéj z natury tajemnicę po tajemnicy. Przyrząd do ważenia zboża składa się z dwóch blaszanych jakby kołysek przy sobie, ustawionych i osadzonych tak na biegunie, że mogą poruszać się wachając w tył i naprzód. Pomiędzy niemi znajduje się rynienka na wpół przecięta, którą sypie się zboże na przemian, to do jednéj to do drugiéj kołyski. Jak więc tylko do niéj nasypie się dana ilość zboża, natychmiast rynienka sama zwraca się do drugiéj kołyski a pierwsza, przechyla się i wysypuje ziarno do kosza, z którego już prosto idzie pod kamienie. Dokładność tu jest tak wielka, że nawet jedno najdrobniejsze ziarneczko nie wsunie się więcéj do kołyski jak potrzeba, ruchy zaś są tak pewne i spokojne, tak w nich panuje zgoda, że patrząc zdaje się koniecznie, iż cały przyrząd działa sam z własnéj woli, ze świadomością tego co robi. Jest to przecudny pomysł dla kontroli młynarzy wiejskich nie tylko waży, ale i znaczy ile razy każda kołyska przechyliła się.

Fabrykacja papieru z drzewa mieści się w oddzielnym na zewnątrz wystawy budynku, ale wyrabia przez tarcie drzewa o tarki, tylko papkę papierową, samego zaś papieru nie widziałem. Nie ma wątpliwości, że wpłynie to niezmiernie na obniżenie ceny jego, ale nie na ulepszenie gatunku, a jeżeli nie potrafią papce drzewnéj, nadać ścisłości któréj nie posiada, to papier z niéj rozpadać się będzie już nie od palcy, ale od wzroku ludzkiego.

Dla fabrykacji lodu także oddzielny przeznaczono budynek, siłą w niej poruszającą jest para, ogień za tem lód robi i wyrzuca go w prześlicznych, jakby wyrzezbionych długich bochenkach chleba, ustawianych w duże piramidy na podziw tysiąca ciekawych.

Handel lodem nie dawno rozwinięty, dziś przybrał znaczne rozmiary. Z samego Bostonu wychodzi rocznie do miljona beczek, czyli do dwudziestu miljonów centnarów lodu, aż do Indji wschodnich i zachodnich. Anglja karmi się także amerykańskim lodem; Francja z Hiszpanją i Portugalją Szwedzkim; Włochy z gór go przywożą, słowem północ żywi południe tym przysmakiem letnim, pomimo swéj nikłości wybornie procentującym. Wprawdzie podróż przez morza i oceany w połowie go zjada, zawsze jednak szczęśliwie dowieziony, sto za sto przynosi zysku, a czasami pięćset, nawet tysiąc. Zależy to wszystko od dowozu i pory roku.

W Indjach dosyć się często przytrafia, że handlujący, za lód, wywożą bawełnę w téj saméj wadze, która przedana w Anglji daje odrazu przedsiebiercom książęce niemal fortuny. Te to wysokie zarobki, podrażniły przemysł, poruszono zatem chemją, fizykę, obstawiono się tysiącami retort, bań, rurek, machin, gazów, i jak zaczęto myśleć, porównywać, zmieniać, badać i doświadczać, tak w końcu Paryż zasypano gradem lodowego wyrobu. Dziś zyskowna nim spekulacja przywozowa nachyla się ku upadkowi; z rozwojem fabryk cena lodu obniży się przynajmniéj do połowy i tym sposobem ułatwi się jego nabywanie nawet dla klass zupełnie niezamożnych. Jaka to szkoda że u nas sama zima lód fabrykuje, bo byśmy i ten produkt mieli zagraniczny, a tak radzi nieradzi musiemy się obchodzić krajowym. O dziale sztuk pięknych byłoby wiele do pisania, tyle tam rzeczywistych mieści się piękności.

W wyrobach rzeźbiarskich z marmuru, Włochy przodują wszystkim, i pierwszeństwo dotąd przy nich zostało. Jest ich dosyć znaczna liczba, nie wszystkie jednak zachowałem w pamięci.

Widok umierającego i siedzącego w krześle Napoleona I smutne niezmiernie robi wrażenie. Choć twarz wychudzona, zapadłe policzki, odznaczające się kości na skroniach, spojrzenie mdłe i gasnące i cała postawa obwiśnięta i umierająca, widać jednak w twarzy genjusz, świecący ostatniemi iskrami swojéj potęgi. Wpatrując się niknie marmur, a zdaje się że lada chwila ujrzysz martwe ciało, oddzielone od tchnienia Bożego co je ożywiało.

— Piękna to praca — rzekłem do towarzyszy — ale przykre i bolesne robi wrażenie.

— Na pociechę — odrzekła zacna nasza korrespondentka Tygodnika Mód — obejrzyj się po za siebie, a rozśmiejesz się i rozweselisz. Usłuchałem rady i zobaczyłem grono ludzi, otaczających figurkę mającą najwyżéj półtora łokcia wysokości. Był to amorek żebrzący, w postawie przyklękniętéj na jedno kolano, z włosami kędziarzawemi, i z rączką wyciągniętą do jałmużny. Figlarz uśmiecha się złośliwie, a w tym uśmiechu tyle filuterności, przekory, szyderstwa i przymilenia zarazem, że tylko głosu mu brakuje, aby parsknął całą buzią. Prawdziwy to łobuzik paryzki albo warszawski, wiedzący dobrze, że w zamian za jałmużnę wypłata dawcy figla o jakim przez całe życie niezapomni. Patrząc śmieliśmy się wszyscy, a choć próba była niebezpieczną, składano mu jednak na rączce susy, których pełna garstka złudzenie jeszcze bardziéj powiększała. Od chłopczyny tego trudno się było oderwać,

kupił go jakiś Anglik zaraz w pierwszych dniach otwarcia wystawy, a ja pierwszy raz w życiu pozazdrościłem bogaczowi jego własności. Cóżby to bowiem była za radość, posiadać w domu sposób niezawodny do rozbudzenia w każdéj chwili śmiechu i wesołości.

Za grupą do któréj złośliwy amorek należy, stoi w kolosalnéj postaci Krzysztof Kolumb, dostrzegający świat nowy, który mu się odznacza gdzieś tam na dalekim horyzoncie. Radość niezwykła błyszczy mu z oczów, a cała twarz pomarszczona uśmiechem szczęścia, dumy i pobożną podzięką Temu, co go szczęśliwie przeprowadził przez morskie otchłanie. Obok niego klęczy na jednem kolanie młoda i bardzo ładna Indjanka, wpatrująca się ze zdziwieniem i ciekawością, w świat także dla niéj nowy europejskiego lądu. W spojrzeniu jednak tem, nie widać podniesienia myśli, ale więcéj bojaźń i trwożliwość, tak naturalnéj w biedakach na okaz przywiezionych do Europy.

Za tą grupą przewyższającą rozmiarami wszystkie inne, znajduje się Karolina Kordaj siedząca na krzesełku i z głową opartą na ręce, trzymanéj na poręczy. W dzikiem jéj spojrzeniu, w zmarszczonem czole, w brwiach naprzód wysuniętych, w całéj wreszcie twarzy jakby drgającéj wewnętrznem wzruszeniem, widnieje myśl jak na dłoni, szalejąca w jéj umyśle.

Inne wyroby są także bardzo piękne, ale opisane powyżéj utkwiły mi na zawsze w pamięci i widzę je nawet w téj chwili, tak jakby stały przed memi oczami.

O UBIORACH

Boulogne 22 Września 1867 r.

Wieczory tańcujące i koncerta powtarzają się tu bez przerwy, towarzystwo po większéj części angielskie, ale pomiędzy mnóstwem przebywających tu osób, jest także kilka wytwornych Paryżanek, z których każdą nazwaćby można *żywym żurnalem mody*. Uważaliśmy że te panie przyjęły modny kolor zwany *waniljowym*. Jédna z nich miała na wieczorze suknię w dwóch kolorach:

Pierwsza spódniczka niebieska jedwabna zakończona u dołu zębami, sięgała zaledwie do ziemi; stanik u niéj gładki pod szyję, miał rękawy obcisłe. Na to szła druga spódniczka w kolorze waniljowym, z lekkiéj tkaniny wełnianéj z jedwabiem, objęta nad obrębem, galonikiem tegoż koloru w drobne niebieskie muszki. Spódniczka ta przedłużona z tyłu podpięta była po bokach kokardami ze wstążki odpowiedniéj. Staniczek bardzo niski, miał tylko ramiączka przybrane kokardami. Szarfa waniljowa z niebieskiem dopełniała ubrania.

Na wizyty i przechadzki przyjęte powszechnie suknie *okrągłe*, to jest nie powłóczyste sięgające ziemi. Niektóre z nich bywają nawet bardzo strojne. Widzieliśmy naprzykład suknię tego rodzaju wykonaną w sławnym magazynie Worsta. Spódniczka na spód czarna w niebieskie atłasowe pasy, nie miała żadnego garnirunku. Na wierzch szła krótsza spódniczka czarna *poult de soie* przybrana wązkiemi atłasowemi pliskami.

Paletocik szalikowy to jest z tyłu do figury, przody zaś znacznie przedłużone, i rękawy szerokie roztwarte, ścięte czworograniasto, z pod których wyglądały wązkie rękawki czarne w niebieskie pasy. Tak paletocik, jak i wierzchnie rękawy objęte były czarną jedwabną frendzlą.

Inna tego rodzaju suknia składała się z dwóch spódniczek w kolorze waniljowym. Pierwsza spódniczka miała nad obrębem naszytą wstawkę czarną koronkową, szeroką na dwa cale. Druga spódniczka znacznie krótsza miała u dołu wolant koronkowy na ćwierć łokcia. Przez środek spódniczki z przodu szła wstawka koronkowa, przeciągnięta zarówno i przez stanik. Pasek taki jak suknia pokryty był barbką koronkową, od któréj spadały z tyłu szarfy. W koło spódniczki od paska naszyte były w odstępach wstawki koronkowe przeszło na pół łokcia. Naszycie to naśladowało baskinę. Od szyi podobne naszycie rozchodziło się na ćwierć łokcia w koło stanika. Rękawy do tego były podwójne, jedne szerokie ścięte u dołu czworograniasto, naszyte brzegiem wstawką, drugie pod spód czarne koronkowe przystające do ręki.

Uważaliśmy także kostium czarny mantynowy w nowym zupełnie rodzaju. Pierwsza spódniczka przybrana była trzema wązkiemi pliskami. Wierzchnia spódniczka nie miała jak zwykle ścinanych brytów, lecz w koło układana była w kontrafałdy. Ponieważ kostium ten noszony był bez krynoliny, fałdy zatem dobrze odsadzały spódniczkę. Stanik gładki spięty pod szyję na guziki przepasany był szeroką szarfą, przewiązaną z tyłu na kokardę. Rękawy zwyczajne ścięte do ręki, zakończone były pliskami, równie jak i wierzchnia spódniczka.

Zwróciła też uwagę naszą suknia jedwabna koloru

Hawanna, sięgająca tylko do ziemi, krajana w kliny. Tak u dołu jak i na zszyciu brytów, szły wypustki aksamitne w ciemno brązowym kolorze. Paletocik wcięty cokolwiek do figury, przedłużony był w ząb tak w tyle jak i z przodu, boki tylko znacznie krótsze nie wiele co przechodziły poniżéj pasa. W koło paletocika szła wypustka aksamitna, guziki były również aksamitne.

Tak na wieczorki jak na koncerta, młode panienki noszą po większéj części białe muszlinowe suknie sięgające do ziemi, lub też cokolwiek przedłużone z tyłu. Podobała nam się bardzo suknia muślinowa, z rurkowaną falbanką szeroką na ćwierć łokcia. Nad falbanką szła trzy razy wstawka kluny na niebieskiem podwleczeniu. Staniczek przymarszczony zachodziła pod szyję, na to włożone były szelki ze wstawek, ogrnirowane falbanką z potrójną drabinką tak na przodzie jak i z tyłu. Szeroka szarfa niebieska związana w tyle, i kokardy na ramiączkach, dopełniały tego swieżego ubrania.

Staniki białe muszlinowe do sukien kolorowych powszechnie też przyjęte na małe wieczorki. Zdobią je najczęściéj kwadracikami kluny i haftowanemi, które naszywają na przemian.

Chusteczki z końcami wiązanemi *Marie Antoinette* należą do najmodniejszych. Noszą je zarówno na sukniach wyciętych, jak i na zachodzących pod szyję.

Do nowości tegorocznych należą także kostiumy złożone z dwóch spódniczek: pierwszéj z tartanu szkockiego w kratę w żywych kolorach, druga z serży ciemno granatowéj lub brązowéj.

Paletocik do tego krótki spięty na złote albo srebrne guziki.

Rękawy bywają podwójne, pod spód wązkie tartanowe, na wierzch spadające serżowe, ścięte u dołu czworograniasto.

S. z Ż. D.

Nowości zagraniczne.

La Mode illustrée. Wyroby na suknie jesienne zaczynają się już pojawiać, w ogóle materje wełniane w deseń zastąpią zdaje się, używane już od kilku lat gładkie; będą po większéj części na tle jednostajnem przerabiane nitką innego koloru, a mianowicie:

Popeliny jedwabne w pięknych kolorach 80 cent. szerokie używane na suknie wizytowe.

Knickerbocker francuzki, który zaczynają wyrabiać lżejszy i nie tak sztywny jak zeszłoroczny. W materji téj widzimy dwie głównie przemagające barwy: kolor złoty na tle ciemno-brunatnem, drugi w białe jedwabne żyłki na tle czarnem.

Wyroby tak zwane mètaliques, są to tkaniny nieznane dotąd, nazwa ich pochodzi od żyłek złotych lub srebrnych, które błyszczą i znów nikną w mgnieniu oka; w niektórych żyłki te mają połysk różnych kolorów na tle ciemnem lub szafirowem żyłki złote, lub na granatowem srebrne. Materjał ten nadto zaleca się wielką trwałością.

Wyrób wełniany zwany *tigrés* czarny na tle dzikiem, także czarny na zielonem lub fijołkowem.

Na suknie do ubrania domowego lub wyjścia na ulicę przeznaczono *toile de chèvre* na tle czarnem lub ciemnem w paski innego koloru lub chinés, szerokość tego materjału jest 70. do 80 cent.

Na spódniczki krótkie do wyjścia na ulicę wchodzą bardzo w użycie *materje wełniane szkockie.* Można dawną suknią szkocką przerobić na zupełnie modną w sposób bardzo używany; to jest objąć spódniczkę u dołu szeroką plisą czarną, naszytą w deseń sutaszami odpowiedniemi do koloru krat. Wreszcie zaczynają już robić po magazynach na nadchodzącą porę, suknie sukienne i kortowe w ciemnych kolorach.

Przytoczemy tu jeszcze suknie wysłane z Paryża do wód Vichy.

Ubranie 1-sze. Tunika z materji czarnéj wycinana w zęby, oszyte galonem czarnym przerabianym *saumon*, druga spódnica dłuższa koloru *saumon* składa się z plis: jedna plisa czarna, jedna *saumon.* Tunika podniesiona w ten sposób, że z tyłu tworzy jeden ząb, dwa po bokach i jeden na przodzie, do podniesienia jéj służą wielkie koła z pasmanterji czarnéj przerabianéj *saumon.* Stanik czarny, rękawy *saumon* z przybraniem podobnem jak na spódnicy. Kapelusz czarny włosianny z piórem bażanta żółtego. Paltot z materji czarnéj w zęby bardzo śpiczaste, z pod których wychodzą drugie zęby *saumon.*

Ubranie 2-gie. Spódnica z materji jasno zielonéj, u dołu gładka ozdobiona trzema rulonami z materji gładkiéj tego koloru co tunika. Ta ostatnia jest zielona w białe pasy. Rulony te przyszyte są w ten sposób, że tworzą jeden szeroki ząb na przodzie, dwa po bokach i jeden z tyłu.

Tunika ozdobiona w ten sam sposób, z tą odmianą, że rulony są z materji gładkiéj. Po obu bokach podniesiona jest lekko za pomocą dwóch muszli z konchy perłowéj. Rękawy z materji gładkiéj ozdobione rulonami; stanik podobny do tuniki, baskina zielona z paskiem i długiemi końcami.

Ubranie 3-cie. Suknia koloru ciemno brunatnego dotykająca do ziemi, zakończona małą falbanką pięć cent. szeroką. Pelerynka Marie Antoinette ozdobiona podobnież, zawiązana z tyłu na szeroką kokardę dosyć wysoko nad paskiem. Kapelusz trójgraniasty ozdobiony piórem bażanta.

Ubranie 4-te. Spódniczka niebieska wełniana, ozdobiona trzema plisami wycinanemi w zęby, objęte czarną sznelką. Na wierzch tunika z czarnéj popeliny wycięta w pięć wielkich zębów, po bokach uniesiona szarfami niebieskiemi ozdobionemi sznelką podobnie jak spódnica. Kapelusz okrągły czarny włosianny z woalikiem niebieskim.

Ubranie 5-te. Spódnica z materji czarnéj wycięta u dołu w zęby naśladujące liście jaworu. Na wierzch stanika czarna grenadinowa wycinana w podobneż zęby, objęte wstążką zieloną dwa cent. szeroką. Pelerynka Marie Antoinette z końcami ze wstążki zielonéj, sięgająca do połowy stanu wycięta także w zęby oszyte wstążką jak tunika. Kapelusik okrągły Marie Antoinette przybrany pękiem zielonéj trawy.

Ubranie 6-te. Najpiękniejszy kostium jaki można

przytoczyć, składał się z tuniki jedwabnéj jasno popielatéj z pod któréj wychodziła dłuższa spódniczka jedwabna walterskott. Tunika uniesiona po obu bokach szarfami ze wstążki szkockiéj. Stanik z baskiną z materji popielatéj z przybraniem szkockiem. Toczek z białéj słomki z odwiniętem rondkiem oszytem materją szkocką, przybrany białem piórkiem.

Ubranie 7-me. Spódniczka spodnia z materji zielonéj, na wierzch biała muślinowa tunika zupełnie płaska, wycięta w zęby i przepinana zielonemi szarfami. Stanik z baskiną cały przymarszczany, wycięty w kwadrat na podłożeniu z materji zielonéj, rękawy greckie. Włosy uczesane *à la Vallière* przybrane girlandą ze spadającemi gałązkami.

Ubranie 8-me. Kostium z sukienka tunetańskiego, koloru ciemno ceglastego, składał się z jednéj spódniczki uniesionéj sznurami tegoż koloru. Stanik huzarski. Kapelusz trójgraniasty z piórem bażanta.

Ubranie 9-te. Suknia z białego fularu w rzucik niebieski, uniesiona dwiema szarfami oszytemi frendzlą, na drugiéj spódniczce dłuższéj, z gładkiéj niebieskiéj materji. Paletocik z fularu białego z przybraniem niebieskiem. Kapelusik popielaty kastorowy z niebieskim woalikiem.

Kostium 9-ty à la Marie Antoinette. Spódnica z materji fijołkowéj dotykająca ziemi, zakończona trzema falbankami. Stanik i pelerynka wiązana z tyłu z téjże materji. Kapelusz okrągły z piórkiem fijołkowem i czarnem.

Kostium 10-ty z materji zielonéj w dwóch cieniach, jedna i druga spódnica gładka. Pierwsza ozdobiona liśćmi wycinanemi z materji ciemniejszéj, druga podobnież na odwrót. Szeroka szarfa zawiązana z tyłu. Włosy uczesane à la Médicis opasane wstążką odpowiednio do sukni.

Ubranie balowe. Spódnica z materji koloru *maïs* naszyta na 15 cent. w górę, gipiurą i dżetem. Na wierzch tunika czarna z grenadiny jedwabnéj tworzy dwa wielkie zęby po bokach, z tyłu czarna tiulowa szarfa oszyta frendzlą koloru *maïs.* Stanik spodni z materji odpowiedniéj do spódnicy, na wierzch drugi z czarnéj grenadiny. Włosy ułożone w warkocz bardzo wysoko, na wierzchu przypięta barbka gipiurowa przytwierdzona żółtą różą.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

13. Hortensja (Hortensia, *Hortensia rosea*). Kwiat ten z georginią ma wiele wspólności, lecz nie ze względu podobieństwa botanicznego, jak raczéj ze zewnętrznéj, mówiącéj fizjognomji. Jeśli georginia jest pięknością zimną, bez wdzięków, to samo można powiedzieć o hortensji. Nadto jest powszechne mniemanie, pewien rodzaj niewinnego przesądu, zwłaszcza u kobiet nawet zaliczających się do towarzystwa ukształceńszego, że kwiat ten w mieszkaniu hodowany, sprowadza do domu niepomyślne przygody, a szczególniéj zazdrość. Że hortensja najlepiéj przyozdabia, kiedy jest posadzoną gromadami w gruncie, tworząc tym sposobem małe kłąbiki, to i to prawda. Na roślinę doniczkową wygląda za ciężko, posiadając za wielkie liście i kwiaty. Nazwa jéj rzeczywiście osobna, nadaną była przez Commersona, od jednéj z jego najlepszych przyjaciółek, Hortensji Lepaute, żony sławnego zegarmistrza paryzkiego, która żyjąc w drugiéj połowie przeszłego wieku, z wielkiem zamiłowaniem zajmowała się astronomją.

Hortensją sprowadzono po raz pierwszy z Japonji do Europy w r. 1778, odkąd stale się utrzymuje po naszych ogrodach, w barwie różowéj lub niebieskiéj. Tę drugą barwę można bardzo łatwo otrzymać z pierwszéj, podlewając hortensją wodą ałunową, to jest taką, w któréj rozpuściliśmy 1 funt ałunu na 6 garncy wody. W Chinach hortensja należy do zwykłych ozdób tamecznych ogrodów. Na płótnach i papierach kolorowych chińskich, można bardzo często widzieć ten kwiat odmalowany. (d. c. n.)

OPIS RYCINY.

Ubranie pierwsze. Kostium popielaty z wyrobu zwanego *sultane.* Spódniczka prawie do ziemi, krajana w kliny objęta u dołu trzy razy pliską lilla fularową. Na wierzch paletot w formie bluzy długiéj do kolan, zszyty z boku, objęty również pliskami, przepasany lilla paskiem, (w miejsce paska używają także szarfy związanéj z tyłu z długiemi końcami). Rękawy podwójne, jedne obcisłe, objęte dwa razy pliską u ręki, drugie szerokie, spadające ścięte czworograniasto. (Wkrótce damy formę takiego rękawa). Nad ramieniem i u szyi dwie pliski. Buciki lilla, kołnierzyk stojący płócienny. Kapelusik ryżowy opasany ruszą lilla, z tyłu spada kokarda z końcami. Z boku wpięte piórko lilla.

Ubranie drugie. Suknia zielona jedwabna. Nad obrębem naszyta trzy razy pasmanterja czarna z grelotkami. Paletocik czarny *gros grains* przedłużony po bokach, przybrany pasmanterją odpowiednią do sukni. Fanszonik biały tiulowy, podpięty wieńcem róż. Parasolik zielony przybrany białą gipiurą.

KORESPONDENCJA.

Panu E. Do. Słownik łacińsko-polski wyrazów lekarskich dotychczas nie wyszedł z druku.

Pani Jadwi. Prc. w Mircu przez Wąchock. Prosiemy o dokładny adres dla przesłania brakujących numerów Tygodnika.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Biedny, dobry, kochany Trilby, wołała, jak okropnie jesteś zmęczony, mało nie padasz ze znużenia.... ale jakże cię lubię za to. Bądź pan spokojny, rzekła zwracając się do hrabiego, już ja sama będę mieć staranie o szlachetnem zwierzęciu... i gdy Camors wszedł do chaty, poleciła służącemu aby wierzchowca odprowadził do stajni, wskazując drobiazgowo starania i ostrożności jakiemi go otoczyć należy.

P. Durocher wezwał pomocy Camors'a, tak trudno było wlać nowe lekarstwo w usta biednych dzieci, zupełnie bezprzytomnych. Kiedy tak oba zajęci byli, pani de Tècle usiadła na drewnianym zydlu, opierając głowę o ścianę. Postrzegłszy to, p. Durocher, zawołał.

— Widzę że ci nie dobrze, kochana pani,.... za nadto silnych doznałaś wrażeń... a potem powietrze tu tak duszne.... oddal się już ztąd proszę.

— Rzeczywiście nie dobrze mi, odrzekła.

— Trzeba żebyś pani zaraz wróciła do domu.... będziem ci tam udzielać wiadomości.

Wstała i chwiejąc się postąpiła parę kroków, ale zatrzymała się zobaczywszy błagalne wejrzenie biednéj matki. Nieszczęśliwa kobieta była przekonaną, że z oddaleniem się pani de Tècle, Opatrzność opuści jéj progi.

— Nie bój się, nie odejdę, rzekła z anielską dobrocią; odetchnę chwilkę świeżem powietrzem, ale nie wrócę do domu, dopóką dzieci twoje nie będą ocalone. I wyszła żegnając uśmiechem uspokojoną matkę.

Po niejakimś czasie, doktór rzekł do młodego hrabiego. Dziękuję ci, kochany panie; nie potrzebuję już twéj pomocy, idź proszę odpocznij sobie, bo doprawdy ogromnie jesteś zmieniony....

Camors znużony odbytą przejażdżką, posłuchał nalegań starca i wyszedł, oznajmiając jednak że się nie oddali daleko. Kiedy przestąpił próg chaty, pani de Tècle siedząca przed jéj drzwiami, podniosła się prędko, zarzuciła mu na ramiona jedno z przyniesionych z pałacu okryć, potem usiadła nie wymówiwszy słowa.

— Ależ nie podobna abyś pani tak całą noc przesiedziała.

— Będę tu spokojniejszą niż w domu.

— Noc jest tak zimna. Pozwól pani żebym rozpalił ogień? Miejsce do tego o kilka kroków jakby umyślnie do tego przygotowane.

— Dobrze, jeśli pan łaskaw.

Hrabia podał jéj rękę i podprowadził na miejsce wskazane, osłonięte jakby dachem rozłożystemi gałęziami odwiecznych dwóch dębów. Na ziemi leżał duży kamień a przy nim kilka pieńków. Pani de Tècle usiadła na jednym, patrząc prosto w okno chaty w któréj słychać było przytłumioną rozmowę doktora i rodziców.

— Spocznij tu pani, rzekł wesoło Camors, ja pójdę szukać potrzebnych materjałów.

Powrócił za chwilę niosąc narecze wiórów i drobnych gałęzi, oraz mały, podany mu przez służącego dywanik, który rzucił pod nogi pani de Tècle. Ukląkł naprzeciw niéj, ułożył stos i rozniecił ogień, gdy już z głębi ogniska iskrzący strzelił płomień, pani de Tècle uśmiechnęła się radośnie i wyciągając ręce do ognia.

Ach! jak to miło, rzekła, i jak to zabawnie; myślałby kto że jesteśmy rozbitki z zatonionego okrętu. Teraz jeszcze będziesz pan bardzo, bardzo dobry, jeśli pójdziesz zapytać się doktora jak się mają dzieci.

Pobiegł co prędzéj. Wracając zatrzymał się mimowolnie, patrząc z uwielbieniem na posągowy profil młodéj kobiety, i na śliczną jéj twarz w sennem zatopioną marzeniu. Cisza, świeże powietrze i ciepło ogniska uśpiły delikatną tę istotę.

Sen jéj zdawał się snem uśpionéj niewinności tak był czysty i pogodny, a oddech lekki i spokojny. Camors ukląkł znowu przy ognisku i ciągle podsycając płomień, prawie nie spuszczał z niéj oka. Chwilami zastanawiał się i jakby przysłuchiwał, choć samo tylko trzeszczenie palących się gałęzi przerywało głuchą ciszę nocy, to znów oczy jego śledziły przelotne odblyski płomieni, odbijające się już to na białawéj powierzchni skały, już to na ciemnem tle lesistego sklepienia. Czasami znów wlepiał wzrok w panią de Tècle, rozkoszując się czystym wdziękiem jéj snu spokojnego.

Ogień prysnął silnie, pani de Tècle zbudziła się nagle, otworzyła zdziwione oczy, i oprzytomniawszy w jednéj chwili, zapytała zaraz klęczącego przy niéj młodzieńca: Jakże się mają?

Nie wiedział co odpowiedzieć, jak wyznać że od godziny ją tylko widział, o niéj tylko myślał. Ukazanie się w téj chwili p. Durocher wybawiło go z kłopotu.

— Będą zdrowe, kochana pani, rzekł starzec; chodź pani, pożegnaj ich i wracaj do domu, bo inaczéj najdaléj jutro ciebie będę musiał ratować. Doprawdy, to zgroza, jak można było zasypiać w lesie, w tak strasznéj wilgoci. Jak mogłeś zezwolić na takie szaleństwo panie de Camors?

Pani de Tècle roześmiała się, wstała i opierając na ręku starca poszła do chatki. Dzieciny odzyskały już przytomność, na bladych ich twarzyczkach widne było przerażenie wywołane widokiem blizkiéj śmierci; jednak gdy tylko zobaczyły p. de Tècle, wyciągnęły do niéj rączęta i chciały podnieść bezwładne jeszcze główki. Przysunęła się prędko, uśmiechnęła, pocałowała i rzekła: Do jutra moje aniołki.

Biedna matka, wzruszona, rozgorączkowana, płacząc i śmiejąc się zarazem, krok w krok chodziła za

panią de Tècle, mówiła coś, chwytała i całowała jéj suknią.

Dajże jéj już pokój, moja kobiecino, zawołał prędko stary doktór — idź pani już do domu! Panie de Camors, proszę odprowadź zaraz panią de Tècle.

Już miała wychodzić kiedy ojciec uratowanych dzieci, który dotąd milczący i jakby martwy siedział w rogu izby, powstał nagle chwytając rękę pani de Tècle, z ruchem tak gwałtownym i jakby groźnym, że aż przeraziła się trochę. Wlepił w nią swe suche i zapadłe oczy, i małą jéj rączkę ściskał jak w kleszczach w swéj zaciśniętéj dłoni.

— Mój przyjacielu, rzekła, nieco zmięszana.

— O! tak pani,... jestem twoim przyjacielem.... wyjąkał głuchym głosem.... tak, tak, przyjacielem. Nie mógł dokończyć; usta poruszały się jakby konwulsyjnem drganiem, i nakoniec straszny jęk wydarł się z piersi. Padł na kolana przed p. de Tècle i przez ręce zasłaniające twarz jego, łzy polały się strumieniem.

Pani de Tècle rozpłakała się.

— Wyprowadźże ją pan, krzyczał doktór. Pan de Camors wziął ją lekko za rękę, i wyprowadził za próg chaty, a za niemi wyruszył służący z dzielnym rumakiem jeszcze mokrym od szybkiego biegu. Wyszedłszy na drogę zwrócili się ku ścieszce wiodącéj do pałacu de Tècle, można ją było przebyć we dwadzieścia minut. Uszli blizko połowę drogi nie wymówiwszy ani słowa; tylko parę razy, gdy księżyc błysnął z za obłoków, zdawało się p. de Camors, że ukradkiem łzy ocierała. Oboje zdawali się zakłopotani swojem milczeniem, pani de Tècle przerwała je pierwsza.

— Jakże pan dobrym byłeś dzisiaj, rzekła, nieco drżącym głosem.

— Cóż dziwnego?... kocham panią! odrzekł młody hrabia.

Proste te słowa wyrzekł tak głęboko wzruszonym i namiętnym głosem, że pani de Tècle zadrżała i zatrzymała się: Panie de Camors! zawołała.

— Co pani?... zapytał dziwnym głosem.

— Mój Boże!... niezawodnie chciałeś pan tylko zapewnić mnie o swojéj przyjaźni— a przyjaźń pana przyjmuję chętnie.

Wysunął prędko ramię na którem była oparta, i zawołał głuchym, gwałtownym głosem.

— Nie jestem przyjacielem pani!

— Czemże więc pan jesteś?

Głos jéj był spokojny, jednak zwolna cofnęła się o parę kroków.

Długo tłumiony wybuch nastąpił nareszcie,i z ust młodzieńca wyrwał się potok słów, niewypowiedzianą popychany siłą. Czem ja jestem! Nie wiem.... nie wiem teraz przynajmniéj. Nic nie wiem czy jestem sobą.... czy jestem dobrym czy złym.... czy marzę czy czuwam.... czy jestem żywy czy umarły! Ach pani, ja to tylko wiem, że chciałbym aby chwila ta nigdy się nieskończyła! O! bo zawsze, zawsze chciałbym czuć w głowie, w sercu, w całéj méj istocie.... to co czuję dzięki tobie.... przy tobie.... dla ciebie! Chciałbym zachorować tu nagle i bez nadziei, abyś jak nad temi dziećmi czuwała nademną, płakała, i mogiłę moją twojemi zrosiła łzami! Ach! widzieć cię tak przed sobą pochyloną przerażeniem!... to strasznie! to okropnie. Nie lękaj się... ja to się lękam.... ja drżę przed tobą, widzisz sama.... bo wiem że skoro wypowiedziałem moje uczucia wszystko, wszystko się dla mnie skończyło. Niczego nie oczekuję.... niczego się nie spodziewam.... wiem dobrze, iż po za dniem dzisiejszym niema dla mnie jutra. Nie śmiałbym zostać twoim mężem.... chcę tylko u stóp twoich spalić serce moje, jakby na ołtarzu.... i nic więcéj. Powiedz, powiedz błagam! czy mi wierzysz?. Czy chcesz mnie wysłuchać?...

Dziś przy tobie, zrozumiałem dopiero szaleństwa poetów, widzę całą ich prawdę!.. Pojmuję i rozumiem tych co dla szlachetnéj jakiéj myśli umierali w męczarniach, bo sam pragnąłbym cierpieć i umrzeć dla ciebie... ponieważ wierzę w ciebie... czczę i kocham...

Umilkł i drżący, wzruszony, pochylił się i pocałował kraj jéj szaty. Teraz, rzekł smutnie i poważnie żegnam panią. Zapomniałem że potrzebujesz spoczynku... przebacz mi!..

Pani de Tècle wysłuchała w najgłębszem milczeniu, namiętnych słów młodego hrabiego. Może po raz pierwszy w życiu, słyszała jeden z owych wielkich hymnów miłości, który każda kobieta pragnie tajemnie choć raz jeden usłyszeć w życiu, choćby nawet rozkosz tę śmiercią przypłacić miała.

Camors umilkł, a ona jeszcze czas jakiś słowa przemówić nie mogła; potem jakby nagle ze snu przebudzona, drgnęła, a z ust jéj wybiegło słówko ciche i słodkie jak westchnienie: Boże mój!

Camors ukłonił się i odszedł, dając znak służącemu aby do bramy przywołał odźwiernego.

Przez cały czas był zupełnie szczerym. Prawdziwe uczucia obfitują w niespodzianki, które najczęściéj w niwecz obracają ukartowane zamiary, żartują z logiki, udaremniają wyrachowania, i w tem właśnie leży ich siła i niebezpieczeństwo. Uczucie takie ogarnia cię nagle jak ów bożek starożytny ogarniał prorokinie na ich trójnogach i przemawia przez twe usta. I wymawia słowa które zaledwie pojąć możesz, zadaje kłam twoim myślom, zdumiewa rozum, odsłania twe tajemnice. Wielkie to i wzniosłe szaleństwo opanowywa cię, porywa, przemienia i nagle z istoty pospolitéj i pozioméj tworzy wielkiego poetę, z trwożliwego bohatera, z samoluba męczennika, z grzesznika anioła czystości.

Na pochwałę kobiet przyznać trzeba, że u nich te porywy i przemiany wywołane silnem uczuciem, często pozostają trwałe i niezmienne, — u mężczyzn rzadko się to bardzo zdarza. Kobiety, gdy raz wzniosą się w te burzliwe obłoki, śmiało wśród nich przebywają, nie troszcząc się o zbyt blizkie sąsiedztwo piorunów, uczucie to ich żywioł, z niem i wśród niego czują się jak w domu. O mężczyznach powiedzieć tego nie można.

Przez całą noc Camors trwał w swojem upojeniu, wzruszony, niespokojny, odurzony, zatapiał się w jakiemś rozkosznem i gorączkowem marzeniu, nie dał przystępu rozwadze; dopiero nazajutrz, gdy z zimną krwią rozważył zdarzenia ubiegłego wieczoru i nocy, żałował napadu szczerości i powiedział: że stał się po prostu igraszką systemu nerwowego. Że pokochał panią de Tècle, to rzecz bardzo naturalna; nie zaprzeczał więc przed sobą że ją kocha, ale dozwolić

miłości, aby stała się panem i arbitrem jego życia, to za wiele: to słabość, jakiéj zasady jego wzbraniają mu najsurowiéj.

Szczęściem mógł jeszcze naprawić złe, mógł zepchnąć obudzone uczucie miłości na podrzędne stanowisko. W tym więc celu p. de Camors napisał następujący bilecik.

Pani!

„Nie chciałbym odjechać bez pożegnania i przebaczenia o które błagam na klęczkach. Czy pozwolisz mi pani złożyć ci moje uszanowanie?“

Camors.“

Skończywszy, zapieczętował i chciał posłać natychmiast, gdy w tem wszedł służący i oddał mu liścik pani de Tècle, następujące zawierający słowa:

„Miłoby mi było gdybyś Pan zechciał odwiedzić mnie dziś, około godziny czwartéj.

Eliza de Tècle.“

Przeczytawszy to, p. de Camors wrzucił w ogień list, który napisał przed chwilą, żałując prawie że przygoda jego tak prędko cały swój utraca powab. Z tego powodu powziął pewien rodzaj żalu do pani de Tècle, nie umiała choćby trochę dłużéj utrzymać się na stanowisku, jakie jéj nadał w swojéj wyobraźni.

Jednak im więcéj bliższą była chwila kiedy ją miał zobaczyć; tym więcéj uczuwał się zmięszanym i niespokojnym, tym większa wątpliwość i trwoga budziła się w jego umyśle. Gdy już mógł widzieć okna zajmowanego przez nią mieszkania, krew uderzyła mu do głowy, serce tak silnie bić zaczęło, że aż zatrzymał się chwilę, siadając pod stojącem drzewem. Potarł czoło ręką, uderzył się w piersi: Kocham ją szalenie! rzekł sam do siebie; a po chwili zrywając się nagle, zawołał: Bah! mniejsza z tem! wszak to tylko kobieta jak każda inna. Daléj naprzód.

Pierwszy to raz pani de Tècle przyjmowała go w swoim pokoju, służący uprzedził go że jest bardzo znużona i cierpiąca. Camors wszedł do wielkiego, wysokiego salonu, którego ściany pokrywało ciemne obicie, tu i owdzie porozwieszane obrazy w złoconych ramach, bronzy, etażerki pełne rozlicznych zabytków rodzinnych, dziwnie poważnie jakoś wyglądały, naśladując niby kościelne ozdoby. W poważnem tem, klasztornem prawie, choć bardzo bogatem ustroniu, dawała się uczuć jakaś woń kwiatów, koronek, strojów kobiecych, jaką zwykle uczuwamy w buduarach młodych i pięknych kobiet.

Widać pani de Tècle czuła się zbyt samotną w téj wielkiéj sali, bo w jednym rogu, koło kominka, urządziła sobie cichy, maleńki kącik, który panna Marja nazywała kaplicą swéj matki.

Tam to postrzegł ją p. de Camors siedzącą na kozetce; w brew zwyczajowi nie miała w ręku żadnéj roboty. Zdawała się na pozór spokojną, ale pod oczami odznaczały się niebieskawe barwy, jakby z płaczu i cierpienia. Patrząc na twarz ukochanéj tak zmienioną cierpieniem i pooraną boleścią, p. de Camors zapomniał ułożonych naprzód frazesów, zapomniał o wszystkiem, wiedział tylko że ją kocha całą swą duszą. Przysunął się prędko, ujął rękę p. de Tècle, i nie wyrzekłszy słowa badał ją spojrzeniem, pełnem najtkliwszéj troskliwości i litości.

— To nic, odpowiedziała usuwając rękę i wstrząsając zwolna głową, już mi lepiéj... a nawet jeśli pan zechcesz, mogę jeszcze być szczęśliwa, bardzo szczęśliwa...

W głosie, w spojrzeniu, w uśmiechu pani de Tècle, było coś niewysłowionego, co ścięło lodem krew p. de Camors; w téj jednéj chwili pojął jakoś niewyraźnie, że go kochała, a jednak na zawsze straconą była dla niego; pojął że miał przed sobą istotę któréj nie znał dotąd, i że ta kobieta niby zwyciężona, złamana miłością, miała jednak na świecie kogoś, co ukochała więcéj niż miłość swoją.

Dała mu znak ręką, a on posłuszny jak dziecię, usiadł naprzeciw niéj.

— Panie, rzekła wtedy bardzo wzruszonym, ale jednak dość pewnym głosem, może za długo słuchałam cię wczoraj.... teraz proszę o wzajemność. Powiedziałeś pan że mnie kochasz, wyznaję szczerze że i w mojem sercu żyje silne dla ciebie uczucie. W tym stanie rzeczy nie pozostaje nam jak tylko rozstać się na zawsze, albo też połączyć nierozerwalnie godnym nas obojga węzłem. Rozstanie zbyt wiele by mnie kosztowało.... i sądzę że dla pana byłoby boleśnem. Połączyć się... co do mnie... z chęcią poświęciłabym ci całe życie moje.... ale to nie możliwe.... podobne małżeństwo byłoby szaleństwem. Pan jesteś młodszy odemnie, i jakkolwiek wierzę w dobroć i szlachetność twoją.... prosty rozum wskazuje mi, iż zaślubiając cię zgotowałabym sobie gorzki żal i zawód. Co więcéj, nie mam prawa rozrządzać sobą, mam obowiązki dla córki, dla rodziny, dla wspomnień moich.... idąc za pana dotknęłabym i zasmuciła okropnie wszystkie żyjące w koło mnie istoty, a nawet może i te co już snem śmierci zasnęły.... więc, panie.... i na jéj twarzy zajaśniał uśmiech postanowienia, pełen niebiańskiego wdzięku — znalazłam środek dozwalający zachować stosunek zarówno nam miły i drogi.... a nawet uczynić go jeszcze ściślejszym i słodszym. Z początku wyda się to panu nieco dziwnem.... ale proszę na wszystko chciéj zastanowić się nad tem.... nie odmawiaj mi od razu....

Spojrzała na p. de Camors i przeraziła się jego bladością; wtedy wziąwszy go za rękę, rzekła z anielskiem wejrzeniem: Czy słuchasz mnie pan?...

— Mów pani, szepnął głuchym głosem.

— Dzięki Bogu, rzekła z uśmiechem niewypowiedzianéj słodyczy, jesteś pan jeszcze bardzo młody. W naszym świecie, ludzie w położeniu pana, zazwyczaj nie żenią się tak wcześnie, i sądzę że mają słuszność. Otóż, jeśli pan zgodzisz się na to.... od téj chwili złączę w jedną całość, dwa najwyższe, najdroższe uczucia mego serca.... i odtąd jedynem mojem staraniem, jedyną dążnością, jedynym celem i radością mego życia, będzie ukształcenie kobiety z wzniosłem sercem, szlachetną duszą, wszechstronną intelligencją, która zapewni ci szczęście i z któréj będziesz mógł być dumnym. Przysięgam że zadanie to uważać będę za najdroższy, najświętszy obowiązek; że w córkę moją przeleję wszystko, co tylko może być dobrego we mnie.... i że staraniom tym poświęcę wszystkie chwile, wszystkie godziny życia.

Co więcéj będę bardzo, bardzo szczęśliwa, jeśli tylko pan zechcesz na to zezwolić...

Z piersi jego wydobył się jakiś nieokreślony okrzyk szyderstwa i gniewu.

— Daruj pani, rzekł nareszcie, jeśli to przeniesienie mych uczuć nie może być tak szybkiem jak jéj myśl.

Lekki rumieniec wystąpił na blade lica pani de Tècle.

— Pojmuję łatwo rzekła, że w téj chwili.... sama myśl zostania moim przybranym synem, musi się panu wydać nieco dziwnem.... ale, za lat kilka, za lat parę nawet, gdy ja już będę starą kobietą, uznasz to sam za rzecz bardzo prostą...

Tak więc aby dopełnić bolesną ofiarę, biedna kobieta nie zawachała się przyoblec w oczach kochanka włosiennicę starości....

Camors był zepsutym, ale nie nikczemnym, pojmując więc w téj chwili jak wielkiem i rozrzewniającem było to ciche bohaterstwo, złożył jéj najniższy hołd na jaki mógł się zdobyć człowiek z jego usposobieniem, łzy w oczach mu zabłysły. Postrzegła to pani de Tècle, śledząca chciwem okiem najlżejsze jego wrażenia, i dodała prawie wesoło:

— Pomyśl pan tylko, jak dzięki temu zamiarowi, wszystko składnie się złoży. Będziem mogli widywać się codziennie, a młodziutka twoja narzeczona zawsze będzie między nami.... uczucia nasze pogodzą się zupełnie w nowem położeniu.... a nadto, ponieważ odtąd zamiary pana co do przyszłości i mnie także obchodzić muszą, łatwiéj będzie usunąć wszelkie stojące im na przeszkodzie zawady, bo śmieléj i wyraźniej bronić ich będę mogła. Nie wyjawiając wujowi naszéj tajemnicy, mogę jednak dać mu do zrozumienia, jak żywo mnie obchodzi powodzenie pana, jakie roję nadzieje.... to skłoni go niezawodnie że jawnie stanie po stronie pana.... a wtedy możesz być pewny powodzenia. Co więcéj, wtedy i ja będę szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. O! powiedz pan, powiedz proszę że się zgadzasz.... abym cię kochała jak syna!...

Strasznem wysileniem woli, p. de Camors odzyskał spokój i moc nad sobą. Daruj pani, rzekł zmuszając się do uśmiechu, ale honor nakazuje mi zapytać cię, czyś się zastanowiła?.. czy wiesz sama czego żądasz odemnie? Czyż oboje możemy niebacznie przyjmować zobowiązanie tak drażliwe i na tak długie lata?..

— Ja też nie żądam od pana żadnego zobowiązania, bo znam dobrze jak byłoby nierozważnem; tylko z méj strony zobowiązuję się wychowywać córkę moją dla pana i w gruncie duszy uważać ją za twoją narzeczoną, w ten sposób ani jéj, ani twojéj przyszłości nie zagradzam i sama spokojna i swobodna co chwila myśleć będę mogła o tobie, jako o przybranym synu. Nie opieraj się pan moim prośbom, zostaw mi nadzieję i pozostań wolnym. Może to szaleństwo — ale spokojność moja od niego zależy — zresztą mam tysiączne powody i myśli których panu nie wyjawiam — ale które dzisiejszéj nocy wypowiedziałam Bogu... i jestem najmocniéj przekonana, e gdy córkę moją wychowam na taką kobietę, jaką niéj wyrobić można, będzie dla ciebie najlepszą żoą, zapewni ci szczęście domowe i wiele, wiele dobrego zawdzięczać jéj będziesz. A i ona podziękuje mi kiedyś z całego serca, bo znam jéj usposobienie i skłonności, wiem naprzód co i kogo ukochać będzie mogła. Pan jéj nie znasz — nie możesz nawet domyślać się jéj wartości— ale ja znam ją dobrze— wierzaj mi, w dziecku tem dziś już objawia się kobieta... kobieta pełna niewysłowionego powabu — i zaręczam panu, stokroć ponętniejsza niż jéj matka...

Drzwi salonu otwarły się w téj chwili i panna Marja wpadła nagle, z ogromną lalką w ręku. P. de Camors wstał i ukłonił się jéj poważnie, ale pani de Tècle postrzegła że przygryzł usta, aby powstrzymać nieco szyderski uśmiech.

— Marjo! zawołała, doprawdy mogłabyś rzucić tę nieznośną lalkę.

— Rzucić moją lalkę, mamo?... ależ ja ją tak kocham....

— Śmieszna jesteś, idź sobie, odrzekła matka.

— O pierwéj muszę cię uściskać, odpowiedziało dziewczę — i kładąc lalkę na dywanie, porwała matkę za szyję, i całowała po rękach i twarzy; potem podnosząc lalkę: chodź kochanko, zawołała! i wybiegła.

— Mój Boże, rzekła wesoło p. do Tècle, otóż opłakane zdarzenie.... ale mimo to, obstaję przy swojem.... i proszę racz mi pan wierzyć, że Marja będzie mieć wiele zdrowego rozsądku, będzie łagodna, dobra i odważna. Teraz, dodała poważnie, proszę, chciéj pan rozważyć słowa moje, i jeśli zgodzisz się na moją prośbę, przyjdź sam zawiadomić mnie o tem. W przeciwnym razie, musimy się pożegnać.

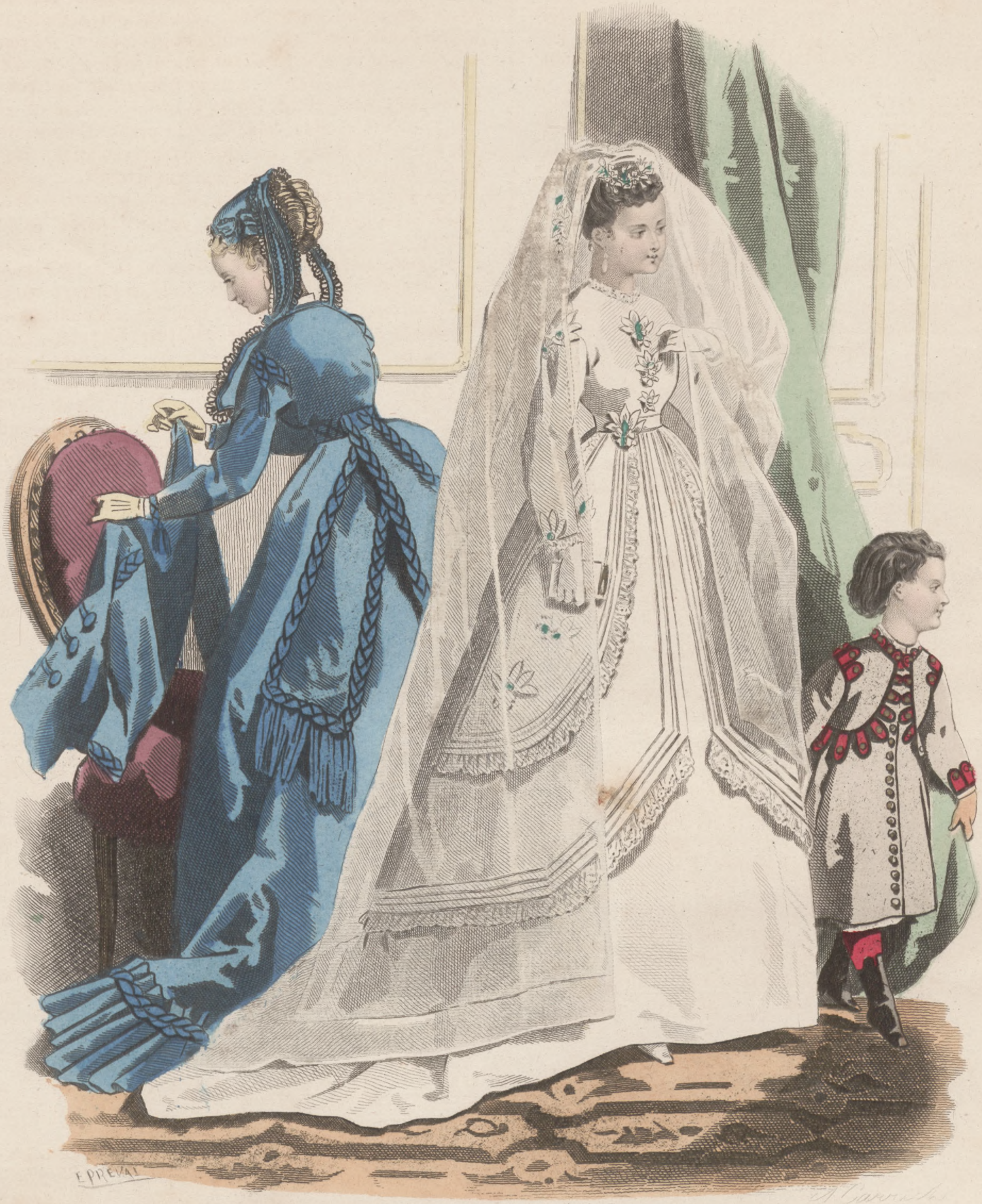
— Pani, rzekł poważnie Camors, daję ci uroczyste słowo honoru, że nigdy w życiu nie usłyszysz odemnie ani jednego słówka, któregoby syn nie mógł powiedzieć do matki. Wszak tego tylko żądasz odemnie?....

Pani de Tècle utkwiła w niego swe piękne oczy, i popatrzyła tak chwilkę z wyrazem nieokreślonéj radości i wdzięczności; potem nagle zakryła twarz rękami: Dziękuję z całego serca!... ach! jakżem szczęśliwa!...

I wyciągnęła do niego rękę całkiem zroszoną łzami; Camors złożył na niéj głęboki pocałunek, ukłonił się i odszedł.

Była to może jedyna chwila w całem życiu tego człowieka, w któréj godzien był szacunku i uwielbienia. Mimo wszystkiego cośmy powiedzieli wyżéj ukochał panią de Tècle prawdziwą miłością, i było to jedyne prawdziwe uczucie, jakie nazwał kiedykolwiek. Tak więc w owéj chwili, gdy widział że ta miłość któréj był niemal pewny, odbiega go na zawsze, nie sama tylko duma, ale i serce bolesnym zostały ugodzone ciosem. Umiał jednak mężnie stawić mu czoło.

(d. c. n.)



Gilquin fils imp. r. des Fossés St. J. 3, à Paris.

3620

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

47